

# Krzysztof Maria Byrski

---

## Ojciec Marian Żelazek, czyli pokój między religiami

---

Palestra 46/9-10(537-538), 109-113

---

2002

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



## WIDZIANE ZNAD GANGESU

*Maria Krzysztof Byrski*

### *Ojciec Marian Żelazek, czyli pokój między religiami*

Ojciec Marian Żelazek, werbista pracujący od wielu lat w Indiach jest jednym z tegorocznych kandydatów do pokojowej nagrody Nobla. Najpierw, jak do tego doszło? To bardzo dawna historia. Wiele lat temu grupa młodych ludzi, której przewodził Pan (dzisiaj doktor chemii) Jacek Wójcik, postanowiła pomagać ludziom potrzebującym w dalekich Indiach. Zbierali to, co mogło być użyteczne i wysyłali pracującym tam misjonarzom. Po pewnym czasie i po licznych doświadczeniach tej niełatwej w PRL pracy, przyszła bardzo interesująca refleksja, którą w rozmowie ze mną wyraził doktor Wójcik. Trafił do mnie, adiunkta w ówczesnym Zakładzie Indologii, w Instytucie Orientalistycznym Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie

pracowałem po uzyskaniu w Indiach doktoratu. Chodziło o coś, co można nazwać wymianą darów. Mój gość opowiedział mi o pracy związanej z nim grupy młodzieży i dodał, iż mają oni świadomość, że dawaniu darów powinno towarzyszyć ich przyjmowanie, by ofiarując coś Indiom, coś w zamian od Indii przyjmować. Tej refleksji towarzyszyła prośba o poprowadzenie cyklu wykładów poświęconych cywilizacji indyjskiej. Tak pozyskana wiedza miała stanowić ów dar Indii przyjmowany z wdzięcznym sercem przez tych wszystkich młodych ludzi, którzy tyle Indiom ofiarowywali.

Było to dla mnie wyzwaniem i zaszczytem przyjąć w imieniu tej wielkiej cywilizacji na siebie rolę niejako szafa-

rza daru wiedzy o Indiach. Symbolicznym aktem otwartości w tym kontekście było przyjęcie przez ten ruch nazwy Maitri. To sanskryckie słowo oznacza przyjacielskość. Słowo mitra zaświadczone w Rygwedzie (ok. XV w. przed Chr.) oznacza przyjaciela, kompana, kolegę. Nie dziwi więc, że wśród wielu epitetów słońca jest także i to słowo. Śatapathabrahmana (ok. VIII w. przed Chr.) i od niej wcześniejsza Biała Jadzúrveda, mówią o Mitrze jako o sojuszniku i przyjacielu wszystkich stworzeń. Z kolei Czarna Jadzúrveda nazywa go panem prawdy. Słowo maitri jest derywatem od słowa mitra, oznacza przyjaźń, przyjacielskość, łaskawość, a także bliski związek, równość i podobieństwo.

W mitologii hinduskiej Maitri to córka boga Dakszy i żona Dharmy (NB to ostatnie słowo oznacza zacie trwań). Słowo to pojawia się również w buddyźmie i oznacza jeden z czterech stanów doskonałości. Nie ulega jednak żadnej wątpliwości, że tak jak u hindusów, tak też i u buddystów oznacza ono przede wszystkim ową przyjacielskość.

Dr hab. Marek Mejor zwrócił moją uwagę na ciekawe studium wybitnego znawcy literatury buddyjskiej Lamberta Schmithausena dotyczące m.in. tego pojęcia (Maitri and Magic, Wiedeń 1997), w którym ten uczony konsekwentnie używa słowa friendliness jako angielskiego odpowiednika maitri. W konkluzji swego studium powiada, że to co przyjacielskość implikuje, to pozostawienie stworzeń (jako osobników odczuwających) w pokoju i być może ulżenie lub polepszenie ich życia bez względu na gatunek, do którego należą, bez ranienia czy niepokożenia innych (s.

68). Dalej ten sam autor powiada, że buddyjski ideał nie postuluje zachowania natury taką jaką ona aktualnie jest, zasadzającej się na walce o przeżycie, ale raczej przyjmuje jako wzór dla niej stan wzajemnego pokoju i przyjaźni z naturą i wewnątrz natury? (s. 69).

Utrzymywanie więc, iż jest to termin techniczny o ściśle konfesyjnym znaczeniu jest takim samym błędem jak twierdzenie, że słowo miłość, to termin techniczny o ściśle konfesyjnym, katolickim znaczeniu!

Później miało się zresztą okazać, jak trudno w naszym kręgu kulturowym uprawiać taką otwartość. Nazwa ta bowiem naraziła tych młodych ludzi na podejrzenia o uleganie zatrutym miazmatom New Age. Tymczasem była ona dowodem postawy bliskiej właśnie Ojcu Żelazkowi, który w jednej ze swych rozmów mówił:

„Misjonarz musi mieć wielki szacunek dla drugiego człowieka, dla jego przekonań religijnych. Gdybyśmy okazali pogardę wobec kultury czy wierzeń ludzi, wśród których pracujemy, zostalibyśmy przez nich odrzuceni”. *Misjonarz*, nr specjalny 2002, miesięcznik Polskiej Prowincji Księży Werbistów, s. 11. Tamten akt przyjęcia wtedy imienia indyjskiego stał się najlepszym dowodem owego szacunku i jednocześnie dowodem głębokiej wspólnoty duchowej z Ojcem Żelazkiem.

Nie dziwi więc, że to właśnie w kręgu Maitri zrodziła się idea nominowania Ojca Mariana do pokojowej nagrody Nobla. I znów jak przed laty zjawił się u mnie nieoceniony dr Jacek Wójcik z pytaniem, co myślę o tej propozycji i czy zgodziłbym się jako były ambasador RP w Indiach

przewodniczyć komitetowi inicjującemu procedurę nominacyjną. Bez wahania przystałem na to, wiedząc doskonale o tym, czego dokonał Ojciec Marian w Indiach. Dzięki niespożytej energii doktora Jacka Wójcika doszło do nominacji.

Czy Ojciec Marian dostanie nagrodę? Oczywiście nie wiemy. Przeciw Jego kandydaturze zdawałby się przemawiać fakt wcześniejszego nagrodzenia w ten sam sposób Matki Teresy z Kalkuty. Komitet Nagrody Nobla może uznać, że jest to zbyt podobna sytuacja i zbyt podobna osoba. Bez względu jednak na ostateczną decyzję tego gremium, wszystkim tym, którzy znali działalność Ojca Mariana lub poznali ją dzięki naszemu przedsięwzięciu, chodzi o wyrażenie najgłębszego szacunku i uznania dla tego wspaniałego człowieka i jego imponującego dzieła.

Jest jednak w działalności Ojca Mariana coś, co z pewnością jest obecne w działaniach wielu misjonarzy na świecie, w tym na pewno także w we wspaniałym dziele Matki Teresy, ale w tym co robi i gdzie to robi Ojciec Marian, jest to obecne w sposób szczególny. Chodzi o działalność ekumeniczną. Tak, używam tego słowa najzupełniej celowo. Świadom jestem tego, że ekumenizm odnosi się wyłącznie do wyznań chrześcijańskich. Ale warto pamiętać, że spotkania w Asyżu organizowane przez Papieża są zwiastunem nowego myślenia o stosunkach międzyreligijnych.

Ojciec Marian już realizuje to, do czego Asyż dopiero przygotowuje naszą świadomość. Przyjrzyjmy się najpierw miejscu, w którym działa już od z górą ćwierćwiecza. Puri, podobnie jak wiele takich miejsc na świecie, to miasto, któ-



Ojciec Marian Żelazek

re wyrosło wokół świętego wzgórza – uroczyska zwanego Nilgiri czyli Błękitne Wzgórze. Na tym wzgórzu już od początku IV wieku po Chr., a prawdopodobnie jeszcze znacznie wcześniej, czczono dziwny wizerunek Wisznu-Kryszny jako Pana Świata.

Dżagannatha. Kawał drewna prymitywnie obrobiony, wyobrażający jakby głowę na nieproporcjonalnie małym torsie, pomalowany na jaskrawe barwy, z czarną twarzą, olbrzymimi oczyma i owym torsem pomalowanym na kolor żółty. Druga podobna figura, to wyobrażenie Balabhadry, brata Kryszny i trzecia, mniejsza to Subhadra, ich siostra. Ciekawe jest to, że te wyobrażenia są co jakiś czas ceremonialnie niszczone i robione na nowo, co każe zrewidować potoczne mniemanie jakoby ta forma kultu w hinduizmie była typowym bałwochwalstwem.

Codziennie odwiedzająca to miejsce wielotysięczna rzesza pielgrzymów, w czasie świąt na przełomie czerwca i lipca wzbiera do miliona i napełnia je duchem pobożności w sposób nieomal odczuwalny fizycznie.

Wielka i niewzruszona wiara tych ludzi w Boga, którego nazywają Panem Świata, czyni z tego miejsca ognisko pobożności, w którym się ona przejawia w najróżniejszych, niejednokrotnie skrajnych formach mistycznego szaleństwa, które doprowadzało czasem w przeszłości rozmodlonych wyznawców do ofiarowywania swego życia pod olbrzymimi kołami wozu ciągniętego linami przez setki pielgrzymów. Wozem tym Dżaganath udaje się ze świątyni na przejażdżkę do swego letniego pałacu. W dodatku innowiercy traktowani są tam jako nieczysti i nie mają wstępu do świątyni, czego zresztą sam doświadczyłem.

Czy można sobie więc wyobrazić miejsce trudniejsze dla misjonarza? Pamiętajmy o tym, że Europejczyk jest w takim miejscu natychmiast identyfikowany. W porównaniu z Puri, Kalkuta, to międzynarodowa metropolia, gdzie na każdym kroku spotkać można ludzi wszystkich ras, ze wszystkich kontynentów. W Puri poza obwieszonymi aparatami fotograficznymi turystami, jest ich stosunkowo bardzo niewielu. Jak to się więc stało, że w takim właśnie miejscu, gdzie na każdym kroku powinien cudzoziemcowi przyglądać się podejrzliwie hinduski bigot, gdzie hinduska dewotka powinna łypać nieufnym okiem na nieczystego firangi – barbarzyńcę, który swą obecnością kała miejsce święte, gdzie kapłani powinni odsądzać od czci i wiary sekciarzy przynoszących z za

morza podejrzane obce kultury, zdające się zagrażać tradycyjnym hinduskim wartościom i burzyć przekazany przez praojców porządek rzeczy, w takim właśnie miejscu pojawia się człowiek bez aparatu fotograficznego i pliku banknotów rozdawanych natrętnym żebrakom; pojawia się, żeby zostać na dłużej, na bardzo długo, na zawsze i to w dodatku zostać jako opiekun ludzi, nie ludzi, trędowatych – w przekonaniu wszystkich naznaczonych chorobą za grzechy popełnione w poprzednim żywocie. A więc słusznie napiętnowanych i niegodnych jakiegoś specjalnego współczucia. A ponadto w dwójnasób nieczystych.

Człowiek ten zaczyna od czyszczenia okropnych ran tych ludzi. Z miłości, która nim kieruje przemaga obrzydzenie. Mówi o tym tak zwyczajnie, bez żadnej emocji czy patosu identyfikując się niejako z nimi. W oczach hindusów tłumnie przybywających do Puri powinien więc być odrzucony tak samo jak trędowaci. A nie jest. Choć zapewne jeszcze wiele czasu upłynie nim hindusi w Puri – odwzajemniając gest Ojca Mariana dającego komunię nieochrzczonemu hindusowi, który o to prosił – wpuszczą go do swojej świątyni przed oblicze Pana Świata, to już dziś główny kapłan tej świątyni Widjaćarja Madhusudana Mahapatra uczestniczy w uroczystościach jubileuszu kapłaństwa Ojca Mariana i wcześniej jeszcze, gdy ukończono budowę kościoła, przysłała swoje błogosławieństwo. Jest też jednym z sygnatariuszy listu nominacyjnego Ojca Żelazka. Sam Ojciec Żelazek z dumą powiada, że został uznany przez swych hinduskich przyjaciół za brami-

na! Z miejsca gdzie wzniesiono Kościół pod wezwaniem Matki Boskiej widać świątynię Dżagannatha. Czy trzeba lepszego dowodu na nadzwyczajną wyjątkowość dzieła Ojca Mariana?!

Jest jeszcze jeden wymiar dzieła naszego kandydata do nagrody Nobla. Otóż postawił On sobie za zadanie przywrócenie człowieczeństwu samych trędowatych i ich rodzin. W Indiach niestety jeszcze i dziś pierwsze oznaki trądu oznaczają wykluczenie ze społeczności, do której człowiek należy. W rezultacie bardzo często osoby, które zauważą u siebie objawy tej choroby same niepostrzeżenie uciekają z domu, skazując się na samotną poniewierkę, ponieważ chcą oszczędzić tego losu pozostałym członkom swych rodzin, którym, gdyby pozostali z nimi, groziłoby także wykluczenie.

Nie odsądzajmy jednak zbyt pochopnie indyjskich społeczności od czci i wiary. Pamiętajmy, że trąd jest chorobą, która i nas przeraża i pamiętajmy także o tym, jak sami reagujemy na ludzi zarażonych wirusem HIV. Nam też byłby potrzebny Ojciec Marian. Udało mu się bowiem przekonać wielu, że trąd jest tylko chorobą i że jest chorobą, której postępy można zatrzymać. Ponadto jest schorzeniem, które nie musi być zaraźliwe przy zachowaniu odpowiedniej higieny. Dziś do szkoły dla zdrowych dzieci z rodzin trędowatych, chodzą zdrowe dzieci z majątnych ro-

dzin, ponieważ jest to jedna z najlepszych szkół w Puri.

Kiedy 11 września ubiegłego roku waliły się wieże Światowego Centrum Handlu w Nowym Jorku zdawało się, że ginie bezpowrotnie nadzieja na porozumienie się ludzi wyznających różne systemy wartości. Tamtego zamachu przecież dokonali ludzie głęboko religijni, motywowani wiarą w to, że współczesna zachodnia cywilizacja jest dziełem szatana i że każdy, kto nie podziela ich wiary i ich odczuć godzin jest śmierci.

Tymczasem w odległym Puri wyrosły obok siebie dwie wieże świątyni uobecniającej dwie zdawałoby się całkowicie różne religie. Kapłani tych dwóch świątyni traktują się jak bracia. Kapłan świątyni hinduskiej, na którego jedno skinienie setki tysięcy ludzi mogłoby w przeciągu godzin zmieść z powierzchni ziemi kościół katolicki, zamiast anatemy wysłała błogosławieństwo!

Jakiej dobroci, ile uznania, szacunku i miłości dla hindusów i ich religii trzeba mieć w sobie, by zasłużyć sobie na taki stosunek. Ojciec Marian potrafił tego dokonać. Jednocześnie jego dzieło zdaje się przemawiać do nas samych. Czy byłoby możliwe wybudowanie świątyni hinduskiej w Częstochowie? Ojcu Marianowi należy się nagroda Nobla za ten pierwszy krok, który uczynił oddając miłość hindusów i otrzymując ją w zamian od nich za to, że uczynił pokój między chrześcijaństwem i hinduizmem.